

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



ZBAWICIEL ŚWIATA.

BOG SIĘ RODZI!

Bóg się rodzi! .. na niebiosów błękitie
Gwiazda cudu jaśnieje,
W pierś ludzkości wstępuje nowe życie,
Wiara budzi nadzieję
I miłości serca biją wśród łona,
Świętym zapalem drzące,
Wyciągają się ku niebu ramiona,
Boga ując pragnące.
I On do nas na padół ziemski schodzi
By żył życiem człowieka;
Anioł pański woła, iż Bóg się rodzi
I na hołd ludzi czeka...

M. Ilnicka.

POGA WĘDKA

Niedawno, ach — tak bardzo niedawno, bo zaledwie parę tygodni temu, wspominało się na tem miejscu o grzecznej, jak dotąd, zimie, która ani nas zbyt silnym mrozem nie przestraszyła, ani ulice i chodniki gęstym posypała śniegiem. Prawdą jest, że mróz, zatrzymujący się w połowie drogi między zerem a liczbą dziesięć, stojącą poniżej zera, — pożądanym nawet byłby gościem, jak również śnieg, ta biała sukienka zimy, któraby nas nie przestraszyła, choćby i w grube fałdy usłała się pod nami. Ale cóż, kiedy to taka zła sprawa z tym ruchem miejskim, z tą niezliczoną ilością stóp ludzkich wzdłuż i wszerz przemierzających miasto, z temi tysiącami kopyt końskich, przebiegających wszystkie ulice Warszawy. Jeszcze śnieg nie zdoła postać się białym płótnem, a już go tak straszą niemiłosiernie, tak rozbijają na piassek mialki, że zamiast śnieżnej, iskrzącej się brylantami szaty isticie królewskiej — brudny łachman jakiegoś obdartusa widzimy przed sobą, który podarty na szmaty przez stróżów, pilnujących porządku, bardzo szybko zamienia się w czekoladowe piramidki, niezbyt pięknie ubierające obie strony ulic i chodników. A niechno tylko niebo się rozkaprysi i rozśnieży na dobre — czekoladka rośnie, rośnie, piramidki zmieniają się w jakieś kawały ścian zaniedbanych obmurowań, które już świecą niezbyt pożądanymi barwami, niemającymi nic wspólnego z resztkami starych, opuszczonych murów, na których żółty mech porasta, przytulaj powój się wiję, mieszka opuszczenie i smutek.

Och nie!

Te podobizny mechów i powojów, to nie są mechy i powoje — to sobie, ot — jakiś niedogarek papierosa, spłowiwały kawałek rzuconego na bruk anonsu, czasami szyjka od butelki, przez lubiącą porządek gospodynię wyrzucona na ulicę z trzeciego piętra, czerep jakiegoś garnka, korek z wypalonym napisem: Habermusch i Schiele — ale nie mech, ani przytulny powój. Takiej zimy, mieszkanięc blagosławionej wsi, zakochany w jej bieli nieskazitelnej — nierozumie i, jeżeli go losy na bruk miejski przeniosły — nie życzy wcale. Jak górale ta trzańscy o swoich górach śpiewają: „kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu kamień na kamieniu“ — tak warszawiak, podczas swojej zimy warszawskiej, mógłby bez żadnej zaśpiewać przesady: błotko koło błotka, koło błotka błotko, a przy onym błotku, błotko koło błotka.

Mróz nie poprawiłby złego, interesu chodniki posypałoby (może) żółtym piaskiem, a żeby ludzkie nogi sobie niewykręcały, imitacje murów nieociekalyby, co prawda, strugami podejrzanej barwy —

ale kolor czekoladowy ulic nie zmieniłby się wcale, sanki nie sunęłyby z lekkością łodzi, śnieżne rozbijając fale, różniłyby się w bruk twardy, stuknęły hałaśliwie, zgrzytały niemiłosiernie, odejmując tem wszystkim uroku przepysznej, niezrównanej z niczem — sannej jeździe. Ha! zapewne, że za obrębem miasta nieco inaczej byłoby musiało, ale to nie każdemu na czas dłuższy wychylić się tam pozwalają losy, nie każdemu brzydkie wskazówki zegarka mówią:

— Masz czas — masz nawet dosyć czasu!

Niestety! inną one piosenkę śpiewają, choćby takim, jak ja gawędziarzom.

A chcecie wiedzieć jaką?

Bardzo brzydką.

— Nie masz czasu, nie masz czasu, nie masz czasu — skwituj, bratku, z szlichtadowych zachcianek za rogatki miasta! Cyk — cyk — cyk! śmieje się nieznośne zegarzysko z tak niewiunych, skromniutkich nawet marzeń.

Ha, — cóż robić nie dziwnego, że czasami człek w czekoladowym znajduje się humorze...

— Ale czyś zauważył, gaduło, żeś odbiegł od zamierzonego przedmiotu?

Niezupełnie...

Zacząłem od zimy i skończę na zimie. Miałem mówić, że owa pani, tak dotąd grzeczna i omijająca wszelką z nami styczność, przypomniała nagle nam i dziesięciostopniowym mrozem zastukała do okien, a sypnawszy śniegiem, jak z rogu obfitości, choć na chwil kilka ucieszyła mieszczuchów. Od razu wzdłuż i w szerz przez Warszawę posunęły się saneczki, miłym dźwiękiem odezwwały się dzwonki przy uprząży kolankowatych rumaków i rozpoczęła się jazda. Szczególnie pięć piękna, żądna zawsze wszelkich nowości, korzystała z tej niespodziewanej wizyty pani zimy — korzystała bardzo krótko, bo już wieczorem mróz sobie w dalsze pognął światy, a stróż domów, uwijając się z łopatami, przeklinali zbytnika.

Poczekajcie — może powróci na same święta.

A teraz rozejrzyjmy się nieco po tej Warszawie, która z rokiem każdym rośnie, jak ciasto na drożdżach i nie długo nam może czekać przyjdzie, jak zupełnie nowa powstanie w niej dzielnica.

Wspominaliśmy w swoim czasie, że może, może kiedyś Marszałkowska ulica, odbierająca zwyczajnie pierwszeństwo Krakowskiemu-Przedmieściu, wydłuży się aż za rogatki mokotowskie i sięgnie ramieniem swoim do Marcelina lub Siedleckiego parku. Patrząc na wzrost Warszawy, może to kiedyś, stać się prędzej niż się spodziewano. Początek już zrobiono w kończącym się roku.

Pierwszy plac za rogatką mokotowską nabył kupiec tutejszy p. Breymayer, który na wiosnę zacznie tam budować kamienicę o trzech piętrach i trzech frontach. Dalej ku Mokotowowi wysunięty plac stał się własnością p. Szatza. Prócz tych nabywców kilka innych już placów jest w targu, na których mają stanąć wille z ogródkami.

Początek tedy już dano — o finał nie będzie trudno. Doczekamy się, że i plac mokotowski w niedalekiej przyszłości będzie rozparcelowany i zabudowany — a mamy nadzieję, że *pięknymi* willami...

Dawniej jedna tylko część Warszawy miała odrębny charakter od innych stron miasta, a była nią Aleja Ujazdowska. Piękne ogrody dotykające trotuarów, mile bawiły oko, cień lip ochładzał rozpalone powietrze miejskie, tu i tam w pośrodku drzew i kłębów wylazły pańskie siedziby, nie było czteropiętrowych kamienic, ani restauracji, ani zakładów spirytualij, ani cukierni żadnej. Uciekało się z ulic miejskich do tej alei cichej, odrzwionej, po której sunęły eleganckie powozy, gdzie się gromadził świat wytworniejszy, smak i wykwił. Nie miał tam racji bytu omaczony przechodzień lub chałat lustrynowy — dzielnica to była isticie arystokratyczna, miejsce odpoczynku zmęczonych umysłów i przychadzek dalekich od gwaru miejskiego.

Ale nie nie masz stałego na świecie...

Dzisiaj Aleja Ujazdowska staje się zwykłą ulicą; ogrody coraz bardziej znikają, miejsce ich zajmują piętrzące się kamienice, w których parter oddany zostaje na restauracje, cukiernie i nie dłu-

go czekać, a pojawiają się szyldy magazynów, sklepy z mąką, wędliniarnie i jatki. — Cicha dotąd jeszcze Aleja napelni się gwarem przekupniów, turkotem wozów rozwożących pieczywo i napój Gambirusa, na werendach jadłodajni garsoni w białych fartuchach, odejmą ostatni urok tej alei will i ogródów niegdyś. — Dobrą więc myśl mają nabywcy nowych placów za rogatkami mokotowskimi, że zamiast trzypiętrowych gmachów zamierzają budować wille niewielkie a schludne, otoczone ogródkami dającymi cię tak pożądaną w upalne dni lata. Dzielnica taka miałaby pierwszeństwo przed inną — coraz więcej pragniemy zieleni i powietrza dla płuc wysuszonych...

Ale nie uprzedzajmy wypadków — może to przedwczesna pochwała.

Tu zanotować nam wypada sprawę kąpieli ludowych, która przed paru laty niejednokrotnie podnoszona, obecnie z krainy marzeń, wchodzi powoli na realny grunt czynu.

Do założenia pierwszej kąpieli potrzeba rs. 30.000, dotąd zaś już zebrano 20.000 rs. Na posiedzeniu odbytem niedawno pod przewodnictwem prof. Baranowskiego, postanowiono projekt ustawy, mającego być założonem Towarzystwa kąpiel ludowych, przesłać do zatwierdzenia władzy. Fundusze towarzystwa mają powstawać ze składek członków rzeczywistych w wysokości rs. 5, z ofiar członków — założycieli po rs. 100 i ofiar ogółu. Pierwsza kąpiel ma być założona w pobliżu ulicy Żelaznej, w dzielnicy fabrycznej i zamieszkałej częścią przez robotników.

Ostatnim czy przedostatnim razem, bo sprawdzić własnego doniesienia nie miałem czasu, wspominałem wam, szanowni czytelnicy, o pani Lucynie Kotarbińskiej, jej szkole i zadaniu tej ostatniej. Do tej, bądź co bądź, nie małej wagi wiadomości, dodać musimy parę słów nowej, która, sądzimy, nieoobojętną będzie, dla rozumiejącego wartość każdej pracy ogółu, a szczególnie was, panie, zainteresować powinna. Owoż tedy dowiadujemy się, że pani Józefowa Kotarbińska projektodawczyni i wykonawczyni od Nowego Roku projektu założenia w Krakowie szkoły malowania stosowanego dla kobiet, bawi obecnie w Berlinie, gdzie dała się w sferach artystycznych poznać ze swego talentu i zdobyła wielkie powodzenie. Zaprojektowano tam jej rytowanie wzorów, choćby na szereg całego wydawnictwa. Przełożona szkoły berlińskiej uprosiła panią Kotarbińską o wypalenie roboty na drzewie, którą wystawiła na widok publiczny. Wyrobiony smak naszej artystki, wykwił w pomyśle i delikatność w wykonaniu, obudziły nad Spreą podziw wśród znawców. Wyjeżdżając do Krakowa, zabiera pani Lucyna K. dużo obstatunków z Berlina, a zdobytem doświadczeniem nie omeszka podzielić się ze swoimi uczennicami.

Oto mała wiązka wiadomości, którą udało mi się pochwycić w ostatnim tygodniu przed świętami Bożego Narodzenia. Może jeszcze to i to wpadło do ucha, lecz nie o wszystkim mówić wolno, a zresztą i tak się lękam, czy przedświąteczna pogawędka będzie odczytaną należycie.

Może która z łaskawych czytelniczek moich — daczego? — zapyta.

Odpowiedź bardzo prosta.

Święta Bożego Narodzenia czy Wielki-j Noce, toć to są najmilsze dni w roku. Dużo radości ale też i nie mało z sobą przynoszą kłopotu, szczególnie gosposiom wiejskim. Ostatnie dni przedświąteczne, są chwilami oczekiwań i powitań. Nie masz prawie domu na wsi, w którymby nie oczekiwało kogoś. Tam pieszczoch w szkolnym mundurku śpieszy do progów rodzicielskich, niewidzianego od czterech miesięcy z radosnym okrzykiem wita rodzina: „a jak? a co?“. Tysiąc pytań się płacze, ojciec wąs kręci, matka do pierśi tuli, siostry mu mówią o pierogach z kapustą i z powidłami, a Benjaminek rodziny, szepce bracieśzkowi na ucho o „Gwiazdce“, która ma niezawodnie zapalić się w dzień wigilijny.

Gwiazdka! toć to rozkosz dla dziatwy, święto przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni oczekiwane. — Ale nie każdy ją dostanie, nie wszystkie rączki dzieci do chwającego się na srebrnej nici aniołka przeciągną się.

Pomyślcie o tych, od nich — szczęśliwi.

Sieroty w przytulniach i ochronach Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, wychowawcy Domu podrzutków imienia Baudouina przy szpitalu Dzieciątka Jezus, nieszczęśliwi chorzy ze szpitalika przy ulicy Aleksandrya — patrzą z niepokojem w twarze swych opiekunów, rzucając nieme pytania:

— A nam czy się gwiazdka zapali?

Pomyślcie i o tych, od nich — szczęśliwsi.

Nie od rzeczy by tu było wspomnieć o różnych gwiazdkowych wydawnictwach i polecić je dziećmi. Trudnem to jednak zadaniem jest dla mnie w tej chwili, bo nawał pracy, nie pozwolił mi zajrzeć do środka tych książeczek pięknych, wabiących oko zewnętrzną swoją sukienką, a sądząc, że i treść w nich zawarta tej szacie godnie odpowie. Przejrzałem tylko kilka, ale choć to swoje, pochwalić się godzi. Oto, malutka, w oprawie skromnej, książeczka p. Ant. Gawrońskiej, zatytułowana: *Bajki, gadki, przysłowia i piosnećki spisane z ust ludu dla dzieci*. Oto dowcipny *so-wizdrzał* Or-Ot — nęci wzrok powierzchownością wykwiłną, dobrymi rysunkami wewnątrz a rozśmiesza swą treścią; oto piękne *A, B, C, wszechświatowe, czyli niebywała podróż Stacha na około świata*, ilustrowana bogato, pióra Kazimierza Glińskiego, książka dla młodzieńskich umysłów dostępna, wesoła w opowieści, w treści pouczająca, — dalej, tegoż autora: *Świat zwierzęcy* w krótkich wierszykach opowiada o życiu zwierząt różnych, ilustrowany wspaniale — i innych wiele, tylko chwycić rękami a nie małą uciechę naszemu maleństwu sprawimy.

Do widzenia łaskawi czytelnicy i czytelniczki, zobaczymy się z sobą przy stole wigilijnym. Nie osobą, lecz duchem będę z wami, i tak jak dotąd dzieliłem się uczuciem i myślą, podzielę się teraz chlebem anielskim, życząc wytrwania w niedoli, pociechy w troskach, niezapominania o Bogu w szczęściu. A i ty, świecie malutki, szeroko rozwartemi oczkami zapatrzony w gwiazdkę promienną, przyjm pocałunek serdeczny odemnie w tym wielkim dniu Narodzin Boga.

Do widzenia!

22

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

Borzycki, przeglądał albumy. Gdy chwila powitania minęła, zerwał się gdy weszła i zaraz potem, prawie że przerażenie w oczach mu się odbiło.

On, od pierwszej chwili, gdy zobaczył Lorę po powrocie z zagranicy, miał jakieś niedobre przecucia. Krótki suchy kaszel, czasem nienaturalne na policzkach rumieńce, lub bladeści liliowa, przy mocno czerwonych i wilgotnych ustach i oczach świecących nienaturalnym blaskiem, niepokoiły go.

Dziś uderzyła go zmiana nazbyt widoczna, a przecież, ledwo dni kilka upłynęło gdy ją widział...

Przysunął się do niej i rozpalone rączki Lory, wziął w swoje chłodne, silne dłonie.

— Wszak jesteśmy przyjaciółmi panno Eleonoro? — pyta, udając, że nie widzi lekkiego na czole marsa i nie odczuwa, wycofujących się z jego uścisku rączek. Jesteśmy przyjaciółmi wszak tak powtarza? — Znajomość nasza, niezwykle da-

wno się datuje i — znajomość to nie tylko salono- wa, ale związana smutnemi i wesołemi wspomnieniami. To już mocniejszy nieco węzeł panno Loro?.. Czy zgadzasz się pani na to!

Lora, przepiękne swoje oczy podniosła na niego.

— W zasadzie, tak, — odparła śmiało. Ale, pomimo że ten węzeł, zacieśniał się w skutek owych rozmaitych okoliczności, obojętnie, na sympatyę naszą mógł pozostać bez wpływu.

Borzycki, nie puszczał jej rąk, coś go uderzyło w jej spojrzeniu i głosie, a i słowa, niemniej zastanowiły.

— Tak — mówi wachająco. — Co do mnie, nie bierz pani tego w znaczeniu czecznych frazesów: w każdej chwili życia bym dla was oddać gotów.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Wierzę temu — szepnęła. — Wanda, niejednokrotnie wspominała, jak pan byłeś dobrym dla nich. Wiem, że i mój biedny ojciec wiele panu zawdzięcza.

— Nie miałem bynajmniej zamiaru wywołać komplementa i pochwały — rzekł nieco zmieszany. Pragnąłem tylko pozyskać zaufanie pani i dlatego jedynie, odwołałem się do przeszłości. Panno Eleonoro! — Powiedz mi pani, czemu ukrywasz się ze swoim cierpieniem?

Wszak choroba, stłumiona w zarodku traci charakter niebezpieczny...

Lora, raptownie wycofała ręce z jego uścisku.

— Daruje pan — zaczęła, ale Borzycki, ujął szybko jedną z odebranych sobie rączek i z szcunkiem do ust przycisnął.

— Stokrotnie panią przepraszam — rzekł z prośbą w oczach i głosie. — Wiem, co pani chcesz powiedzieć... Proszę, błagam, uważaj pani pytanie moje, jako wynik serdecznej o ciebie troski. Patrzę na panią oczyma przywiązanego brata, którego uwagi nie nie ujdzie...

Szafirowe oczy Lory, pociemniały. Ból i rozkosz szarpnęły jednocześnie jej sercem.

— Dziękuję panu serdecznie i umiem ocenić przyjacielskie jego uczucia — rzekła z wytworną grzecznością ale i z chłodem nienaturalnym. — Wywzajemniając się, powiem szczerze, że jakkolwiek zbyt zdrową nie jestem, ale i o poważniejszą chorobę posądzać mnie nie można. Zmęczyła mnie podróż; karnawał w tym roku był bardzo ożywiony... Jedno z drugiem, wpłynęło na zmianę cery i wywołało osłabienie. Oto wszystko, co odnośnie do mego zdrowia powiedzieć panu mogę.

Uśmiechnęła się blade. Borzycki obserwował ją bacznie.

— Nie jesteś pani szczerą — rzekł otwarcie. — Może ja wiem, jaka jest przyczyna — dodaje zwolna, zatrzymując się jakby z wachaniem. — Moje przywiązanie braterskie, daje mi pewne przywileje... Czy nie tak, panno Lorein? Jak ja panią wyraźnie pamiętam, — mówił miękko przyciszonym głosem, patrząc na jej bladej twarzy, która pod wpływem jego słów i spojrzenia, łagodniała i ożywiała się nieco. — Zwraçałem niejednokrotnie uwagę p. Wandy, że p. Mamusia bardzo panią przypomina. Rysami jedynie; bo wyrazu oczów i słodyczy uśmiechu nikt nie potrafiłby naśladować.

Usiadł przy niej i machinalnie, zaczął przeglądać album.

— Aaa! — zawołał zdziwiony. — A z kądże ja się tu wziąłem? Wszak to nabytek drezdeński, to przepyszne album?

Nie pojmuję doprawdy! — Spojrzał na Lorę. Zarumieniała się tak mocno, że nawet na czoło i bieluchną szyję, padł odbłask rumieńca.

— Wandzia, przysłała nam pana na gwiazdkę, wraz z opłatkiem — odparła siłąc się na uśmiech. — Pisała wtedy bardzo wiele o tem, jak pan się dla nas poświęca.

Borzyckiego, zadziwił rumieniec i widoczne zmieszanie panienki. Jednocześnie myśli, że Wanda pisała o nim, przejęła go radością.

— Nie bierze zastróżony, ale szczęśliwy — rzekł uśmiechnięty. — Anim się spodziewałem, że podobna moja do Drezna powędruje. — Wracając do poprzedniej rozmowy.

— Nie, nie! — zawołała Lora, składając prosiąco dłonie. — Nie chciałam powiedzieć, że nie czuje się chora i to dostatecznie. Ogólnego zdenerwowania, choroby obecnie modnej, nie zapieram się; to jednakże bagatelka, którą łatwo, jaśniejsze, weselsze warunki życia usuną. Pamięta pan, spacerów, w ogrodzie Saskim? Spotkaliśmy się po wyjściu moim i Wandy z fabryki. Czy pan przypuszcza, że — że wizyta tamże nie mnie nie kosztowała?

Zmarszczka przecięła białe jej czoło, kureczem bólu zadrgnęły usta.

— Wie pan, nie miałam wyobrażenia... nie przypuszczałam... aby los pracujących kobiet był tak ciężki. I stosunek zwierzchników do podwładnych i brak jakiegokolwiek łącznika sympatycznego pomiędzy pracującymi zadziwił mnie i zasmucił. Jak te młode dziewczęta są zepsute, jak mało mają serca i takie ograniczone!... Brr! — wstrząsnęła się. — Nie spodziewałam się aby sfera pracujących wywoływała wstręt i niemal pogardę.

— Litość raczej — rzekł Borzycki smutno.

— Jestem zdumiona — ciągnęła dalej rozgorączkowana. — Czy tak jest wszędzie? Al! To okropne! Pan nie ma pojęcia, jak mnie tam przyjęto. Ale o to mniejsza! Gdy pomyślę, ile biedna siostra moja znosi przykrości i upokorzeń, serce pęka mi z bólu. Wiem, że Wandzia była w kilku miejscach, próbowała i tego i owego, nim zdecydowała się szyc i przerabiać kapelusze... Wiele widocznie u nas nie dosyć jest chcieć pracować, lub być do tego przez los zmuszoną... Nie miałam dotąd o tem pojęcia... teraz widzę jednak, że jak wszędzie tak i tu na pierwszym planie stoi zawiść, zazdrość lub śmieszna pycha. Nie szczególnie zachęta do pracy, która i tak, zwykle lekką nie jest.

Umikła zmęczona. Zakasłała się i krople zimnego potu spierliły się na jej czoło.

— Znadto się pani przejmuję, a to pani szkodzi, panno Loro — rzekł Borzycki i znów w oczach jego błysnął żywy niepokój.

Nie zważała co mówił.

— Lękam się, czy Wandzię nie kosztuje to zbyt drogo, chociaż stara się ukryć przedemną — rzekła jeszcze poruszona do żywego całą tą kwestyą.

— Niechże się pani uspokoi... — przerwał Borzycki. — Nie wszędzie jest tak źle i nie należy zbyt pesymistycznie zapatrywać się na tę kwestyę. I między pracującymi znajdują się mniej lub więcej uczciwi, mniej lub więcej rozwinięci umysłowo. Gdyby te biedne istoty ukochały pracę, a nie uważały ją jako kajdany, które los, według ich pojęć, niesprawiedliwy — dźwigać im każe, gdyby ćwicząc ręce nie zaniedbywano umysłu i serca... wówczas byłoby wszystko inaczej. Ale któż dba o to? W domu gdzie mieszkam jest stróż, obarczony liczną rodziną. Obowiązki jego — gdyby, przypuścimy, miał jakieś pojęcie o tem, jak gromadkę swoją wychowywać należy — nie pozwalają na zajęcie się dziećmi; toż samo jest z matką, która dzień cały uwija się posługując lokatorom i wpada do domu wówczas jedynie, gdy dzieciom jeść ugotować trzeba. Ktoż więc młode te istotki prowadzi ku Bogu, ku prawdzie, uczu miłości bliźniego, wskazuje granice między występkiem a cnotą? Tak jest niemal wszędzie.

Umikł na chwilę i poprosił Lorę o pozwolenie zapalenia papierosa. Widać było, że i jego żywo ten przedmiot zajmuje.

Lora słuchała bardzo uważnie.

— Zdaje mi się — rzekła, — że w utorowaniu drogi tej do światła, znacznie postąpiliśmy naprzód. Babunia i Wandzia opowiadały mi, że dobroczynność nasza i filantropijna działalność nie ogranicza się jak bywało dawniej do sumnych frazesów, ale krząta się istotnie i wydaje owoce.

— Nie przeczę — odparł Borzycki. — Robi się wiele, ale — w tą robotę nie kładzie się serca i częstokroć dlatego plan dobrze niby obmyślany chybja celu. Nakoniec, dopóki rządzić się będziemy względami, względeczkami, sympatjami, protekcjami, najpiękniejsze przedsięwzięcie pójdzie kulawo. A u nas tak się dzieje niestety! Niech to panią nie obrazi, że się ośmielę przeciwko poci nadobnej wystąpić, ale radbym wiedzieć,

co też naprzykład młode panny po wyjściu z pensyi w domu robią?

Lora głośno się rozśmiała.

— Nie wiesz, pan? Istotnie? Czekają na mężów; cóżby robiły?

Borzycki rozśmiał się także.

— Jaka pani złośliwa...—mówi—że się rozweseliła.—Ale skoro tak jest, powiedz mi pani, czy nie byłoby stokroć pożyteczniej, aby dla skrócenia tego oczekiwania, panny te w domu gdzie mieszkają naprzykład poświęcały parę godzin dziennie dla takich biedactw kryjących się po suterynach lub poddaszach. Tym sposobem jedynie do tych ciemnych umysłów wniknęło-by trochę światła i—co za tem idzie, na powierzchni ziemi znalazło-by się mniej malkontentów, mniej zawistnych, żółć i gorycz ustąpiłaby z serc wielu. Upewniam panią, że te same dziewczyny z fabryki, które postępowaniem swoim wywołały oburzenie i nieledwie pogardę, zyskały by twą sympatyę, gdyby ćwicząc ręce, jednocześnie umysł kształciły.

— O czem państwo rozmawiacie?—ozwała się nagle Lila, ukazując w fałdach portyery utryzowaną w najdrobniejsze loczki głowę i uróżowane policzki. —Już od kilku minut patrzę na was i słyszę, że rozmowa wbiegła na tory arcy poważne. I to moja „iskierka“ tak żywo rozprawia, że aż oczęta błyszczą?...

Uśmiech ironiczny zabłąkał się na usta Lory.

— Iskierka? O, mamol! porównanie nie wydaje mi się zbyt trafne—rzekła wzruszając ramionami i znużoną głowę opierając o poręcz fotelu.

Michał po ucałowaniu ręki Lili, usiadł zasępiony.

Widok jej sprawiał mu zwykle teraz przykrość głęboką. Oprócz upokarzających wyrzutów jakie sobie wciąż czynił, nic w sercu jego nie zostało dla tej kobiety zimnej i załotnej. Poznał się na jej wartości, stracił szacunek, a wtedy i miłość szybko ulata.

Miłość? Czyż to była miłość? Jakże innem jest to uczucie spokojne, które od lat paru wsiąka mu w duszę łagodnie, czyni go lepszym, nie wstrząsa jak huragan, nie marnuje sił młodych.

Niejednokrotnie w ciągu paru lat ostatnich, gdy postać dziewczęcia o myślącej, nieledwie surowej twarzy i oczach głębokich i smutnych, coraz częściej prześladować go zaczęła, przypominał sobie męczarnie, jakie tamta, pierwsza wybuchowa miłość mu przyniosła. Tyle walk z samym sobą, ciepła tyle i przekonać się potem, że uczucie swoje umieścił na hipotece bardzo wątpliwej, bo zabazgrane już szeregiem imion podobnych jemu szaleńców, których poczucie uczciwości i honoru i najgorętsze postanowienia topniały w ogniu czarnych przepięknych oczu kobiety bez serca i holdów chciwej.

Michał, czuł pogardę dla samego siebie a dla tej, która była tego powodem, wstręt niepokonany. Gdyby nie to, że był oddawna przyjaciелеm Kamienieckich, że w obec niedołęznego, nieszczęśliwego Stanisława poczuwał się do opieki nad tą gromadką rozbitków, z pewnością nie byłby przestąpił progów tego domu, gdzie na nowo Lila stała się pierwszą i jako pani domu miała prawo wymagać, należnych dla siebie względów.

Ujrawszy teraz nagle przed sobą tę twarz, piękną już tylko odbiciem piękności dawnej, nie mógł uciąć niesmaku jakim go przejmowały jej oczy wyzywające, uśmiech sztuczny i całe zachowanie nietaktowne, prawie rażące. Białe, lilowe, kremowe tualety, które mu przeszłość przypominać miały, wzbudzały w nim politowanie i lęk się, aby dziewczęta, bystre i rozumne nie spostrzegły nic z tego, co on widział i aż nadto pojmował.

— Szkoda, że pan Kamieniecki wyszedł dziś przy takiej nie pogodzie—rzekł Borzycki, gniotąc w rękę papieros. —Przypuszczałem, że dlatego właśnie zastanę go w domu i będziemy mogli pogadać o interessach.

Lila uśmiechnęła się ironicznie.

— Złudzenie łaskawy panie! — odparła wzruszając ramionami. — Mąż mój, nie jest w stanie rozmawiać o interessach. Doprawdy, trudno mi

pojąć, jak można stać się takim abnegantem. Nie i nikt go nie obchodzi.

— Mama zapomina, że ojciec jest chory — rzekła Lora bardzo dobitnie.

— I ja nie jestem zdrową — szepnęła, jakby mimowolnie Lila.—A przecież obchodzi mnie żywo i przyszłość wasza i twoje zameżcie... Hrabia będzie naglił o przyspieszenie ślubu. Należałoby zawczasu o tem pomyśleć...

Lora podniosła się szybko i wyszła.

Borzycki zauważył, że zbladła bardzo.

— Łaskawa pani — rzekł, zdobywając się na energiczne wystąpienie. — Proszę wybaczyć, że zwrócę uwagę pani na mocno zachwiane zdrowie panny Eleonory. Należałoby poradzić się lekarza specjalisty i kurację rozpocząć.

Lila zdumiona, spojrzała na niego.

— Lorecia utrzymuje, że jest zdrową zupełnie — rzekła z wahaniem. Prawdopodobnie są to skutki karnawału spędzonego bardzo wesoło... Lora, była uznana królową wszystkich balów — dodała z dumą.

— Cóż nas obchodzą przyczyny, skoro widzimy skutki — odparł szorstko Borzycki. Należy co rychlej, zabrać się do kuracji, aby później nie było zapóźno... Pani wybaczy, że mówię z bezwzględna otwartością, ale przypuszczam, że państwo patrząc ciągle na pannę Eleonorę, nie widzą zmiany, która z dniem każdym widoczniejszą się staje

W oczach Lili odbiła się trwoga.

— Przestraszyłeś mnie pan—mówi przytłumionym głosem. — Istotnie, kaszel taki uporeczywy, może przynosić szkodę wątlęmu organizmowi, a Lorecia bardzo jest delikatną. Maszę pomówić o tem z hrabią. Możeby do Ems, lub do Szczawnicy pojechać... Lorecia się martwi — dodała poufnie. Pan wie, jakie zmiany zastałyśmy w kraju po powrocie.

— Chyba jest jeszcze rzecz inna, która więcej martwi pannę Lorę — odparł nie myśląc o tem, że się na gniew dumnej pani naraża.—Nie mogę uwierzyć ani na chwilę, aby wybór jej, ze skłonności serca wypływał. Taki narzeczony jak hrabia...

Lila zacisnęła mocno wargi. Wydawała się bardzo starą w chwili wzburzenia, które ukryć usiłowała.

— Wybierała przecież sama—szepnęła.

— Tak, westchnął Borzycki. Ale co na ten wybór wpływało? Może to jakaś idea poświęcenia się dla rodziny?... Bo nie miłość przecież... Wybaczy szanowna pani, że odzywam się tak szczerze z tem co myślę; długoletnie obcowanie razem, przywiązało mnie do rodziny państwa i nie pozwala uważać się za obcego.

— Cieszy mnie to — odpowiedziała Lila, obdarowując go słodkim spojrzeniem. — I mnie — i nam poprawiła się — przykro byłoby uważać pana za obcego. Przeżyliśmy dużo chwil smutnych i wesołych... Wspomnienia, to mocne ogniwo, które ludzi wiąże... dodała sentymentalnie.

Przesunęła rękę po czole, bardzo ostrożnie, by nie powiechrzyć upudrowanej grzywki.

Borzycki, poruszył się niespokojnie. Zwrot kn przeszłości, strachem go przejął.

Lila pojęła to inaczej.

— Wie pan — mówi zwolna, głosem miodowo-słodkim — w ciągu tych lat kilku, bardzo często myślą byłam w Kamieńcach. Tęskniłam!.. ale kobieta, zostawszy matką, powinna przestać myśleć o sobie... Trudno to jednak wyrzec się pragnień wszelkibh...

Borzycki powstał.

— Zapewne, łaskawa pani — ale gdy się robi cokolwiek z tem przeświadczeniem, że będzie to z korzyścią dla tych, których się kocha...

— Jaka prześliczna odmiana begonii — rzekł, nagle pochylając się nad kwitnącą rośliną i oglądając ją z zajęciem — Panna Wanda, bardzo starannie pielęgnuje kwiaty...

Lila uczuła się dotkniętą. Byli sami, wyglądała bardzo wspólnie, w materyalnym ponsowym szlafrocuku i zdawało jej się, że dziś, dziś właśnie, w pamięci Michała obudzi wspomnienia i — w jednostajnem szarem jej życiu obecnem, zjawi się chwilka jaśniejsza, trochę niewinnego choćby flirtu... wskrzesi młodość, po której kobiety samolu-

bne i nie umiejące życia czemś poważnem zapełnić tęsknią zwykle.

Borzycki, przestraszony jej sentymentalnym nastrojem, zapragnął z obłoków sprowadzić piękną panią na ziemię i energicznie zabrał się do tego.

— Chciałem właśnie pomówić z mężem pani, — rzekł chłodno — czy p. Wanda nie mogłaby zmienić rodzaju zajęcia. Szycie kapeluszy wydaje mi się pracą niezbyt produkcyjną, a dla takiej jak p. Wanda osoby, przykrą. Wiem, że ma projekt, bo wspominała mi o tem pani Kamieniecka, założyć w przyszłości fabrykę kapeluszy słomkowych i dla tego przebywa teraz ten ciężki nowicyat. Było by to niezłe może... ale ze względu na samą pannę Wandę, nieodpowiednie. Wydaje mi się za wytworną, za delikatną, aby mogła być dobrą kupcową. Jestem pewien—dodał z uśmiechem, — że dla każdego i zawsze robić będzie ustępstwo, a na tem oczywiście sama najgorzej wyjdzie, bo ludzie lubią wyzyskiwać i potrafią.

Lila uczuła się na dobre rozgniewaną. Czy on się uwziął drażnić ją dzisiaj?

— Do projektów Wandy wcale się nie mieszam — rzekła kwaśno. — Wanda jest za arbitralna i zarozumiała, aby rady czyjejs posłuchać chciała. Bóg jeden wie, ilem wycierpiała, dowiedziawszy się, że córka moja zarabia na chleb, szyjąc kapelusze razem z dziewczętami, które... które pochodzą przecież ze sfery bardzo różniacej się od naszej.

Przyłożyła chusteczkę do oczów i leciutko otarła powieki.

— Przypuszczam, że to było zrobione dla mnie umyślnie; widzę w tem rękę matki. O! życie moje, pełnem jest goryczy — dokończyła złamanym głosem.

Borzycki zagryzł wargi. Zły był, że nie może odpowiedzieć jej tak, jakby chciał...

— Byłem wczoraj na poważnem zebraniu u jednej z dalekich moich krewnych — rzekł. — Ona trochę literatka, a w każdym razie, kobieta z sercem i podniosłym umysłem. Mówiliśmy dużo o rozmaitych kwestjach a najwięcej oczywiście o palącej kwestyi pracy kobiecej. Tyle się słyzy zdań przeciwnych, tak różnorodne tworzą się o tem pojęcia, że nie dziwnego, iż przedmiot ten otworzył pole do rozmaitych dociekań, sporów i — jak dotąd, zawsze znak pytania pozostaje jeszcze na końcu. Gdyby środki były po temu, panna Wanda zdolności swoje mogła by spożytkować na sposób odpowiedniejszy i przyjemniejszy wykształconemu umysłowi wyjechać zagranicę, potrzeba przez lat kilka żyć z grosza, a to jest niemożliwe. Wiem, przecież, ile panu Kamienieckiemu zostało, po opuszczeniu Kamieniec. Daj Boże aby rok jeszcze chociaż, nie gryźć się troską o chleb powszedni... Wobec takiego stanu rzeczy, należy się pannie Wandzie hold uznania, że po kilkunastu próbach, które-by najodważniejszego zniechęciły, wytrwała w postanowieniu i zabrała się do pracy. Powołując się na zdanie mojej sędziwej krewniej, zaproponować chciałem p. Kamienieckiemu, czy nie było-by lepiej...

Ktoś szarpnął drzwiami gwałtownie. Borzycki obejrzał się.

— Panno Loro, co się stało?—zawołał przerażony, spostrzegłszy trupio-błądą twarz Lory, stojącej we drzwiach nieruchomo, jak gdyby nie miała siły postąpić dalej.

Blade usta Lory poruszyły się, ale nie wyszedł z nich dźwięk żaden. Ręką przyzywała matkę, Lila z Borzyckim podbiegli ku niej.

— Loreciu, co to? Mów na Boga! — pytała matka przerażona. — Chora jesteś?

Borzycki podtrzymał chwiejącą się dziewczynę. Myśl jego pobiegła ku Wandzie. Czyżby jakie nieszczęście?

W sieni zrobił się ruch. Słychać było bieganie, wykrzykniki, pytania...

To ocuciło Lorę.

— Mamol! — krzyknęła głosem boleści wielkiej — ojciec... ojczulek...

Zemdlała. Lila osłupiała. Borzycki porwał Lorę w ramiona i złożył na ottomanie.

— Zwiłż jej pani czoło wodą kolońską—zawołał i wybiegł szybko do sieni gdzie już sługi z parteru i pierwszego piętra, zgromadziły się licznie

i przechylone przez poręcz schodów, spoglądały na dół ciekawie.

A na dole hałas się wzmagał. Borzycki odróżniał już teraz głos Stanisława o dziwnym jakimś krzykliwym brzmieniu, połączony z innymi głosami.

W mgnieniu oka zbiegł na dół. Dorożka otoczona ulicznikami stała przed domem. W sieni, blade, z dzikim wejrzeniem bez kapelusza szamotał się w rękach kilku ludzi Stanisław.

Borzycki, odsunął tłoczących się i ujął go w ramiona.

— Proszę się usunąć — rzekł rozkazująco do otaczającej ich gromadki. — Tu nie ma nic ciekawego. Rozejdźcie się bo pogorszacie stan chorego.

Nikt się nie ruszał.

— Musi rozumieć pomieszało — zawołał jakiś wyrostek, boksując na prawo i lewo, byle być jak najbliżej. — U panów, to tam nie nadzwyczajnego.

— To tak bez próżniactwa moje państwo — rzekła chuda jejmość, haczykowały nos wsuwając między patrzących. — Człowiek zapracowany to i o głupstwach nie myśli.

— Marcinie — zawołał na stróża Borzycki. — Pomóżcie mi zaprowadzić pana na górę.

— Ja pomogę, proszę pana — ozwał się młody człowiek, który dotąd ze współczuciem patrzył na całą tę scenę. — Ja znam p. Kamienieckiego, bo często do nas przychodził. Dziś, jak tylko wszedł, zaraz pomyślałem sobie, że coś z nim niedobrze i miałem go na widoku. Aż tu niedługo pan zaczął rękami rozkładać i sam do siebie gadać... przyneypał się przeląkł i chciał policyi meldować, że panu coś w głowie niedobrze, ale ja tu nieraz do państwa sprawunki od nas nosilem, tom wiedział gdzie pan Kamieniecki mieszka, i powiedziałem, że jabym pana odwiózł... Ale ledwo, ledwo cośmy pana namówili do dorożki wsiąść... Za nic nie chciał, a tylko wołał, że się boi... Może pan będzie łaskaw zapłacić dorożkarzowi; czeka już z kwadrans...

— Dobrze, dobrze — odparł machinalnie Borzycki. — Pierwej musimy chorego zaprowadzić na górę.

Młody chłopak chciał ująć Stanisława pod ramię.

— Jużśmy probowali kilka razy — mówi — ale pan taki mocny, ani rusz dać radę.

Borzycki jednakże miał siłę niepoślednią i energię, która biednemu szaleńcowi zaimponowała.

Gdy weszli na górę, Lila stała we drzwiach blada i trzęsąca się jak w febrze. Dzwoniły jej zęby, wargi poruszały się pytaniami, których nie była zdolna wypowiedzieć. Chowała się przerażona za Lorę, która wprędce odzyskała przytomność i za nic nie chciała w pokoju pozostać.

Borzycki wyprawił stróża po lekarza. Stanisław wyczerpany, z błędnym spojrzeniem, które obiegało pokój cały, z trwogą najwyższą siedział teraz na fotelu i mówił coś do siebie szeptem, ale trudno go było zrozumieć.

Borzycki, ujął go za rękę i siadł przy nim.

— Kochany p. Stanisławie — rzekł energicznie. — Trzeba się położyć i wypocząć; jesteś pan zmęczony... Ja panu pomogę...

Stanisław podniósł głowę.

— Boję się — mówi szeptem, przerażony wzrok wlepiając w Borzyckiego. — Wyobraź sobie: ściga ją mnie już od dni wielu. Ludzie i przyroda zawzięli się przeciwko mnie! Nie wiem gdzie i przed czym pierwsi uciekać... Ach, jakie grzmoty! Jaka nawałnica; cały dom się z nami rozpada w gruzy. Czy słyszycie?

Zaczął drżeć na całym ciele i z przerażeniem najwyższym, obejrzał się po pokoju.

— Nie wypędzajcie mnie — prosi, składając ręce błagalnie i tuląc się do poręczy fotela.

Borzycki pełen żalu, ujął go w ramiona.

— Panie Stanisławie... uspokój się... spójrz na mnie! Wszak jesteś między swoimi... nikt cię nie szuka, nie prześladuje...

Stanisław, wyrwał mu się gwałtownie.

— Jakto, nie widzisz? — Krzyknął zastawiając się fotelom. — Patrz! to on! Czy widzisz jak się skradają? Prez, prez ode mnie?

Ręką wskazywał na stojącą przy oknie żonę i córkę i kurczył się ze strachu.

Lora wyrwała się matce i poskoczyła ku niemu. — Ojczulku — mówi łzawym głosem, chwytając go za ręce. Nie bój się; to ja, Lorka, córka twoja...

Odepchnął ją; pochwycił szklankę z wodą stojącą na stole i nim obecni przeszkodzić mu zdołali, rzucił ją na głowę Lorki.

Lila krzyknęła przeraźliwie i zasłoniła oczy. Lorka uchyliła głowę i szklanka rozbiła się na posadzce.

— Wyjdź stąd... wyjdź, on cię zabije — krzyczała Lila, cofając się ku drzwiom.

Przerażona twarz Jurka, pokazała się we drzwiach i znikła.

— Babcin, — woła, wpadając do kuchni, gdzie Kamieniecka przyrządzała do obiadu makaron. — Tatko, tatko o mało Lorci nie zabił... Żeby babcia wiedziała, co się tam dzieje?

Kamieniecka spojrzała na chłopca, nie rozumiejąc.

Mieszkała o piętro wyżej, wejście było od podwórza, nie słyszała wrzawy, ani wiedziała co się w mieszkaniu synowej działo.

— Mój Jurku — mówi chwytając za rękę malca. — Co ci się stało? Co ty mówisz?

Jurek zaniósł się głośnym płaczem.

— Walek od stróża mówił mi jakim wracał ze szkoły, że tatusia przywiezli z miasta chorego i że tatko zwaryował — opowiadał Jurek z płaczem. — Pobieglem na górę i widziałem jak tatuś rzucił na Lorcię szklankę, a mama okropnie krzyczała.

Chłopiec zaniósł się płaczem, w Kamienieckiej krew zastygła.

— Nie płacz Jurku — mówi z wysileniem, odsuwając go od siebie. — Zostań tu, zanim Barbara powróci...

— Dodaj mi Panie siły, abym ten kielich gorczy wypila do dna bez szemrania — szeptała zbladłymi ustami, wlokąc się po schodach. Kamieniecka prawie z boleści stanęła przy boku syna. Przechodząc obok Lili przychylonej w kącie i prawie nieprzytomnej ze strachu, spojrzała na nią i wtedy, w oczach nieszczęśliwej matki zjawił się wyraz takiego bólu i wyrzutu, że postać skulona Lili, jak gdyby pod brzemieniem tego spojrzenia, skurczyła się więcej jeszcze.

— Wyprowadź pani córkę — rzekła pokazując jej, trupio bladą twarz Lorci. — Czy nie widzisz, że ją ten widok zabija?

Lora wzrokiem modliła się do babki.

— Nie! — odparła tamta stanowczo, zrozumiawszy mowę jej oczu. — Proszę cię odejść dziecko. Nie wiadomo, które z was dwojga ratować pierw.

Lora nie śmiała się już sprzeciwiać. Po ich odejściu, Kamieniecka dała dopiero folę swej boleści. Opuściła ją zwykła trzeźwość myśli, opuściło męztwo, które ją czyniło silną przez lat tyle.

— O, ja nieszczęśliwa, nieszczęśliwa! — wołała, załamując ręce. Czego to stare moje oczy oczekiwały. Dziecko ty moje, dziecko jedyne, któremu matka rodzona szczęścia ni spokoju zapewnić nie mogła. Coś ty wycierpiał biedaku, zanim ci Bóg, pamięć o twoim bólu odebrał. O! ja czułam, ja widziałam te męki twoje, ale Bóg błagał moich wysłuchać nie chciał. — Zaniósł się płaczem, który jej wątle piersi rozrywał, Borzycki gryzł wąsa i łyzy połykał.

Stanisław nie zwracał na nie uwagi. Z wzrokiem w dal utkwionym, szeptał wciąż z przerażeniem: szukają mnie... Pochwyć i już nigdzie skryć się nie zdołam.

Wszedł lekarz. Leczył już Stanisława od miedzi kilku, a widząc wzrastające rozdrażnienie, przewidywał koniec groźny, ale nie było w mocy jego zapobiedz temu. Latami gromadziły się w zmęczonym umyśle nieszczęśliwego, ażł gorzkie i smutne, latami targały się nerwy, aż wreszcie rozluźowało, pokruszyło się wszystko w tym organizmie zbiedzonym i — został już teraz szkielec powleczonej skórą, trochę siwych włosów na prawie nagiej czaszce i myśl trzeźwa odbiegła na zawsze.

Jeden krok fałszywy w życiu wystarczył, aby ono dla istot tylu stało się pasmem zawodów i cierpień niewysłownych.

— Nie możecie państwo trzymać chorego w domu, — mówił lekarz do Borzyckiego, gdy im się udało nareszcie zapakować chorego do łóżka. — Teraz przyszło wyczerpanie, upadek sił, więc się uspokoił. Kto nas zapewni, że atak nie powtórzy się za godzinę, za dwie, w nocy lub rano? Na to musimy być przygotowani... — Radził bym, natychmiast rozpocząć starania o umieszczenie chorego w szpitalu obłąkanych. Wpadnie w furę, może być nieszczęście!

Borzycki biegł po pokoju jak struty.

— Czy matka się zgodzi? — mówi, — wskazując Kamieniecką. — Czy córki się zgodzą? Nie rachuję na siebie, abym je przekonać potrafił. Chyba pan, doktorze, wyperswadowiesz...

Tarł czoło i wasy targał — Myśl jego uciekała do Wandy, która nie wiedziała dotąd o niczym.

— Pewny jestem — rzekł lekarz — że p. Kamieniecka zaakceptuje mój projekt. Bolesny, to prawda ale — konieczny. — Nie wiem tylko, czy żona będzie równie rozsądną. Bardzo mało znam młodszą panią Kamieniecką...

— O! — Borzycki nie był w stanie utaić wstrętu. Machnął ręką i uśmiechnął się ironicznie. Przypuśćmy, że da się nakłonić... — ale doktorze, mnie samemu trudno pogodzić się z tą myślą. Możeby jeszcze spróbować? Może znajdzie się jakiś środek ratunku. Nie mogę myśleć o tem, że on mógłby być...

Zasłonił twarz rękami, by ukryć łzy, które mu po twarzy ciekły.

— Kochałem go jak brata — mówił usprawiedliwiając się... — Szlachetny, zacny to był człowiek i...

— I nieszczęśliwy!... — dokończył doktor. Czytałem to w jego spojrzeniu i uśmiechu, bo sam nie skarżył się nigdy. Ha! cóż począć kochany panie! Czasem los się zawężmie i pcha na człowieka więcej, aniżeli tenże znieść może... czasem człowiek sam pokieruje tak życiem, że ani się opatrzy, kiedy już wszystko za sobą zostawił, zmarnował. Darmo już teraz zastanawiać się nad tem. Dam kochanemu panu świadectwo i staraj się, abyś biedaka tego co rychlej z domu wywiózł.

W godzinę potem pocziwy lekarz przysłał felczera, sumiennego i silnego mężczyznę, który niejednokrotnie dał już dowody umiejętnego obchodzenia się z cierpiącymi na umyśle chorymi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii.

Nie wesole wieści nie wesole obrazy, przesłać mogę łaskawym czytelnikom moim, wylew wód Tamizy zamienił całą dolinę tej rzeki w jakieś przeogromne jezioro, wśród którego wsie i miasta sterczą posepnie. Uczniów kolegium w Eton rozpuszczono, bo przerwanie komunikacji zmusiło do tego, Windsor stawał się każdej nocy jakąś głuchą i ciemną pustynią, ponieważ fabryka gazu została zatopiona, nie można go było dostarczyć nawet dla oświetlenia pałacu królowej Wiktorii i od 1742 r., nie było takiego wylewu wód w tych okolicach. Ludność uboga, której praca została nagle przerwana, znalazła się naraz pogrążona w niedostatku pierwszych potrzeb życia, lecz królowa zajęła się gorąco losem tych nieszczęśliwych, osobiście zwiedzała Eton i dzielnicę Windsoru, stojące pod wodą, żywiąc kosztem swej prywatnej szkatuły ludność nieszczęśliwą, a do charakterystycznych rysów położenia dodać należy, że ptaki uleciały gdzieś wszyskie, snadź nie znajdując pożywienia, a śmiertelność ludzi zwiększyła się ogromnie. Umierają przecież i ci, którym ani głodno, ani chłodno na tym bożym świecie i w rubryce ostatnich tu zgonów ludzi wybitniejszych zaliczyć trzeba długoletniego redaktora, *Timesa*, Johna Waltera, a dodać należy, że redaktor tego pisma zalicza się w Anglii do pewnego rodzaju potentatów, bo dziennik ten oddziaływa bardzo silnie na opinię publiczną.

Nasze kółko nie oplakuje bynajmniej tego zgonu, bo nieboszczyk był zaciętym wrogiem Irlandczyków, ale drugostronnie przyznać mu należy, że położył niemałe zasługi w zawodzie swoim redaktora, bo nie tylko umiał sobie zjednać cały sztab redakcyjny, ale dbał z ojcowską niemal troskliwością o dobrobyt nawet najpodrzedniejszego współpracownika a zarazem i każdego zecera, w ogóle każdego, kto tu rękę do dzieła przykładł. Śmierć jego nie przyniesie tu zmiany żadnej, *Times* będzie tak, jak był od początku swego istnienia organem staroangielskich tradycji: czcicielem siły, potęgi materyjalnej swego narodu, choć dodać należy, że stał zawsze z wielką gorliwością przy czystości obyczajów, przy moralności, byle tylko nie wchodziło tu w grę, to, co dotyczy wielkości i potęgi Anglii.

Czem *Times* w dziennikarstwie, tem w życiu wewnątrz Londynu jest *City*, stare miasto, panujące niejako nad wszystkimi dzielnicami stolicy Anglii. Skupia się tu cała jej siła, a trzeba wpatrzeć się dobrze w życie, które tu wre, aby zrozumieć na czem polega jego rozwój i znaczenie. Rozległość *City* obejmuje niemal milę angielską, obszernością nie imponuje zatem innym, większym dzielnicom Londynu; w obrębie tym mieszka trzydzieści siedem tysięcy pracowitych, spokojnych ludzi, to też tylko do godziny szóstej wieczorem kipi tu ruch życia, lecz z nadejściem wieczoru wszystko to, co pracowało tu i roilo się bezustannie, jak olbrzymie mrowisko, układa się do cichego spoczynku, który przecież kończy się już z pierwszym świtem, bo od tej chwili setki ludzi śpieszy tu i wnosi ze sobą bogactwa swoje pod formą czeków, przekazów i tym podobnych papierów, które liczyć można na krocie funtów szterlingów. *City* uważa się za centrum życia Londynu i dumnie nie chce uронić nie z przywilejów nabytych przed wiekami. Widzialnych granic *City* nie nie zaznacza, żaden mur, zasiłek żaden nie oddziela tej starej części stolicy Anglii od reszty miasta, gdy przecież przybywa tu królowa lord major w otoczeniu całego muniypium wręcza jej uroczyste klucze, jak gdyby od jakiegoś obwarowanego grodu, którego bramy potrzebowałyby rozwiierać. Skupia się tu działalność cała magnaterii mieszczańskiej, zazdrosnej o prawa swoje i dumniejszej niemal od lordów, ale wiek nasz usiłuje niwelować zasieki przeszłości i na ostatnich posiedzeniach parlamentu rozpatrywano wszystkie w ogóle przywileje, z których postanowiono usunąć bezwzględnie te, które z duchem czasu, z postępem cywilizacji są w niezgodzie. Rady gminne mieć będą poważne znaczenie w krzewieniu oświaty ludowej i rok nasz zostanie zapisany na karcie wewnętrznych dziejów Anglii głoskami złotymi. Każda wioska może zaprowadzić u siebie głosowanie co do wnoszenia bezpłatnych czytelni i tworzenia bibliotek, oraz muzeum i należy się spodziewać, że rzecz ta weźmie obrót pomyślny, czytelnie bezpłatne znajdują się we wszystkich większych gminach, zwłaszcza we wsiach parafialnych.

Mimo to, że oświata umysłu rozszerza się, że postęp w tym kierunku jest wielki i starannie przeprowadzony, obyczaje obniżają się i rozwody są na porządku dziennym, a publiczność jest chętnie ciekawa tych dramatów rodzinnych i na każdym posiedzeniu sądowym w sprawach rozwodowych, galerie są zwykle przepełnione. Prasa podaje też w najdrobniejszych szczegółach te rzeczy smutne a zaliczyć trzeba nie do wesołych to jeszcze, że kobiety coraz to więcej emancypując się nabierają upodobań męzkich. Zmarła tu niedawno księżna Karolina Agnieszka Montrose, która należała do najzapalniej rozmiłowanych wyścigowców i konie jej wygrały w czasie jej wdowieństwa przeszło 100.000 franków na rozmaitych wyścigach.

Ale nie wszystko tu zły kierunek bierze, wychowanie dzieci jest zawsze w rodzinach przedmiotem wielkiego znaczenia i w tym właśnie czasie uwidocznia się to co rok. *Gwiazdka* przynosi zawsze wielką liczbę dobrych książek dla dzieci i to nie tylko w rodzinach zamożnych; wychodzi ich setki całe w wydaniach tanich, a dodać trzeba, że dzieci rodzin bogatych starają się aby ta kolenda nie ominęła ubogich. Nietylko

dzielią się nią z dziećmi niezamożnymi, składając je w tanich wypożyczalniach książek, ale w ciągu roku tworzą się ich staraniem i pracą albumy, które sprawiają niemałą uciechę dziatwie ubogiej. Albumy te, zwane tu „Scrap Books“, powstają z rozmaitego rodzaju wycinków z pism peryodycznych, obrazki, wierszyki, zdania moralne, naklejane starannie w kajetach na ten cel przeznaczonych, bywają nie tylko przesyłane na *gwiazdkę* dzieciom ubogim, ale w ciągu roku dostają je dzieci chore w szpitalach, w przytułkach.

Do dobrych rzeczy, zaliczyć tu należy stowarzyszenie kobiet z celem oddziaływania przeciwko obalamajacym wpływom teozofistów, to jest ludzi, którzy jakoby za pomocą skupionych sił ducha zdołali wywoływać z zaświatu mary zmarłych, choćby przed wiekami ludzi. Trudno w to uwierzyć, aby w kraju tak ucywilizowanym i wśród narodu tak w gruncie trzeźwego rzeczy takie dzieć się mogły, stowarzyszenie pragnie tu przez odczyty i broszury tak tanie, że tylko koszt wydania pokrywają, zwalczać te machinacje niedobre, do czego środków dostarczyć ma prasa. Już to należy do wielkich zalet dziennikarstwa angielskiego, że nie tylko występuje zawsze z pomocą, gdy trzeba zwalczać coś szkodliwego, a podnieść to, co na uznanie zasługuje ale stara się stawiać w świetle odpowiedniemi wszelkie niepocziwe machinacje, jak tego dowód świeży mamy tu przed sobą. Pewien zręczny spekulant ogłosił odezwę zapraszającą do wzięcia udziału w jakimś podejrzanym przedsiębiorstwie, gdy przecież przekonano się, że rzecz jest wątpliwa, że może się tu kryć machinacja jakas nieczysta, *Pall Mall Gazette*, w której pierwsze ogłoszenie drukowanym było, zarządziła śledztwo, którego rezultatem stał się obszerny artykuł przedstawiający dowodnie, że redakcja została w błąd wprowadzona i że pragnie dać wszelką możliwą pomoc tym, którzy w skutek wspomnianego artykułu wpłacili się w zły interes. Zaproszono nawet jednego z pierwszych tu adwokatów, który by na koszt redakcji przyjmował w tej sprawie klientów i potrzebnych im rad i pomocy prawnej udzielał.

A łatwo to dać się uwieść uludom i nadziejom, gdy rzeczywistość staje się coraz to cięższą, przy ogromnym napływie kapitałów, poczynając od Banku Angielskiego, stopa procentowa obniżyła się ogromnie i przedstawia obecnie 1½ od sta, gdy niedawno jeszcze było 4% a każdy człowiek oględny nie chcąc ryzykować kapitału musi przystać na to, choć z drugiej strony drożyzna się zwiększa niemal z dnia na dzień. To też widzi się obecnie na ulicach Londynu nędzę tak okrutną, że musi wzruszać najtwardsze serca, a przecież Anglik nie da nigdy żebrakowi spotkania na ulicy ani grosza, bo żebrak ów nigdy o to ręki nie wyciągnie, posłuszny nakazowi, którego złamanie spowodowałoby karę aresztu. Że domy angielskie są tak przez cały dzień zamknięte, jak to jest u nas w nocy, że odzwierzy nie puszcza nigdy żebraka, więc biedacy używają tego sposobu wzywania miłosierdzia, jak się to dzieje u nas po wsiach: śpiewają.

Dodać jeszcze trzeba, że rząd w dał się w tą sprawę, czy przecież racjonalnie? Nałożył na rodziny bogate na rzecz ubóstwa podatek pośmiertny, to jest z chwilą zgonu ojca zabiera dzielącą część majątku na rzecz dobroczynności publicznej, czego skutkiem najbogatsze rodziny ograniczyły miłosierne swe dary z uwagi, że i tak muszą oddać na ten cel znaczną część mienia swego. Jest tak już obecnie; słynna filantropka, Burdett-Couts, oraz księżna Devonshire, ogłosili przez dzienniki, że wobec takiego prawa, muszą zabieliwiej dbać o przyszłość rodzin swoich. Ludzie najpoważniejsi jeszcze nie wydali wyroku, po której stronie jest racja i w przyszłym liście moim znajdziecie ich odpowiedź.

August.

MIASTO POGRZEBANE.

Ziemia na której życie wrze nieustannie, na której człowiek wznosi gmachy niebotyczne, obliczone na trwanie przez długi ciąg wieków, jest przecież wielkiem ementarzyskiem, które kryje w łonie swoim nie tylko kości milionów ludzi, ale i grzyzy tysiąca miast, grodów, których szczątki przysypane pyłem wieków przechowują obrazy życia dawno zmarłego. Takim martwym posągiem przeszłości, wydobyty z pod mogiły popiołów w naszym już wieku, jest Pompea, miasto pogrzebane przeszło 1800 lat temu: gród pełen wtedy życia i ruchu — gród pałaców i wytwornych willi, których ściany były pokryte wdzięcznymi malowidłami, obrazami życia bez troski, bez obaw przyszłości, gdy tuż obok, jak się to dzieje i obecnie, jak się to dzieć będzie po wszystkie wieki istnienia ludzi na starym globie naszym, mieściły się domki małe, gdzie człowiek spracowany do gorącego znoju na czole odpoczywał, aby przecież wstać znów nazajutrz do taczki swojej i pehać ją przed siebie do chwili ostatniego już odpoczynku. Patrycyusze rzymscy budowali tu domy letniego pobytu i przebywali w nich krzepiąc siły oddechem wzmacniających powiewów, które przesyłało im morze.

Wąskie uliczki, którym błękit niebios odkrytym teraz został, noszą ślady wytwornych wózków, w których dumna magnateria patrycyuszów przesuwiała się wyniosle przed oczyma pracowitego plebsu. Kamienie bruku noszą ślady kroków tysięcy stóp ludzkich, a sklepy z marmurowymi kantorami mieszczą w sobie jeszcze do dziś dnia przedmioty rozmaite, które przyciągały tu do siebie kupujących a sklepy ryżu i prosa przechowywały dotąd ziarno, które ziemia wydała przed wiekami. Napisy po nad drzwiami kamienie przedstawiają się oczom wyraźnie i razem widzieć możemy, iż miasto to rozległe było i bogate a snadź żadna groźba zniszczenia nie unosiła się nigdy nad niem. Niebotycznie wysoka góra strzelała szczytem swoim po nad niem, a choć w starych podaniach mieścił się szczegół, mogący zadziwiać i zarazem skłonić do badań, a to że ze szczytu góry wydobywa się niekiedy jak z komina dym czarny i gęsty, śmiano się z tego i przypisywano początek legendy mglistym waporom gorących dni letnich.

Aż naraz grunt zadrżał ludziom pod nogami, było to silne trzęsienie ziemi, mury świątyń i gmachów wyniosłych zrysowały się, kapitele kolumn na rynku miejskim zachwiały i waliły z hukiem a niejedna nić życia ludzkiego przerwała się nagle. Ale na szczęście trwało to krótko i miasto niemal zyskało na tem, bo ulice były wąskie, okna wychodziły na podwórza a ściany frontowe zdobyły jedynie malowidła nie zawsze estetycznie piękne, ludność oddychała ciężkiem, niezdrowym powietrzem, to też gdy pierwsza chwila trwogi i zamieszania minęła, mieszkańcy zabrali się odważnie do naprawiania szkód zrządzonych i zwożone przez zarząd miasta bryły marmurów rozchwytywały chętnie ręce wyciągających się ku niem sztukmistrzów.

Najważniejszym miejscem w domu starożytnej Pompei było obszerne podwórze, otoczone filarami, odkryte w pośrodku, gdy po bokach ciągnęły się kryte podsienia, na które wychodziły drzwi różnych komnat i przykomurek. Podwórze to: *atrium*, było miejscem ważnem w życiu rodzin, bo tu przyjmowano gości i interesantów, tu traktowano rozmaite sprawy, załatwiano interesa, dom zaś był jakoby przybytkiem bogów domowych. Po za atrium mieścił się obszerniejszy dziedziniec i tu wykazywało się zamilowanie piękna Pompejan. Wytwornie wdzięczne kolumny, ściany pokryte malowidłami, marmurowe posągi, ozdobne niszki i fontanny wzrok czarowały, a w pośrodku ukazywał się często ogród. Do około tego drugiego dziedzińca, zwanego *peristilem*, mieściły się pokoje sypialne, kuchnia, spiżarnia, lecz pod łaskawem dla człowieka, niemal zawsze pogodnem

niebem, przepędzano większą połowę czasu wśród przestrzeni otwartej. Niewolnicy, to jest służba, zamieszkiwała piętro górne.

Trudno wyobrazić sobie coś wdzięczniejszego. rozkoszniej weselszego, jak dom pompejański. Mury i kolumny pokrywały malowidła, a były to poetyczne postacie bogów i bogiń, krajobrazy ożywione grupami ptaków, zwierząt - żywa natura w jej najpojętniejszych obrazach. Najskromniejszy, ubożuchny nawet domek nie był pozbawiony ozdób pewnych: kolorytu wzrok rozweselającego. Dziedzińce domów ludzi zamożniejszych zdobiły fontanny z różnokolorowej mozaiki, obłożone muszlami form najrozmaitszych; strumień wody to wypływał z ust jowialnego fauna, to lała go z wytwornego dzbanka wdzięczna naja w sposób taki miarowy, że była to jakoby w naszej ludowej bajce grająca woda.

Kapiele są pod niebem gorącym ważną rzeczą. Tak zwane termy mieściły się w przepięknych budynkach, komnata w której rozbierano się z odzieży, miała jak miewa i dziś jeszcze, niszczącego kształtu, oddzielone posągami bóstw rozmaitych, między którymi figurował zawsze bóg Atlas z terrakoty z przepiękną fryzją powyżej. Na posadzce stał na czterech nogach wielki brązowy ogrzewacz, w drugiej komnacie znajdował się marmurowy basen czterdzięciu metrów głęboki.

Forum, czyli plac targowy, było głównym centrum życia publicznego, po jednej stronie wznosiła się świątynia Jowisza o przedziwnie malowanych ścianach, do której wiodły wschody o piętnastu stopniach z przepiękną kolumnadą. Jowisz, pan niebios, ukazywał wchodzącym do świątyni postać wykutą dłutem starożytnym a do koła niej posagi, kolumny, rzeźbione ołtarze i najrozmaitsze wota: ofiary składające się tak z przedmiotów sztuki, jak i służące do użytku domowego w życiu codziennym.

W jednym końcu forum wznosił się obszerny budynek, mieszczący sklepy rozmaite, kantory zmiany pieniędzy i świątynię wzniesioną na cześć cesarza Augusta. Miasto dźwigało się z ruiny piękniejszej i weselszej niż dawne, ulice były szersze, życie stało się łatwiejsze i kobieta zaczęła istnieć nowe dla niej. Nigdy nie była ona zamkniętą niewolnicą, jak niewiasta wschodnia, cywilizacja rzymska ukazywała ją zawsze jako współpracowniczkę życia męczyzny, matkę rodu, przecież w Pompei życie jej było weselsze, więcej ożywione, gdy naraz ziemia zdrząła ludziom pod nogami, co jednak nie sprawiło jeszcze takiego wrażenia, któreby stało się przestrożą i nikt nie łączył tego fenomenu z wdzięczną dla oka w wysokim swoim kształcie górą, która rysowała się na widnokręgu bez zmiany żadnej. Aż naraz wierzchołek jej rozwarł się szczeliną głęboką, wyblął z niej słup płomieni, które strzelały coraz wyżej, nie gasnąc ani na chwilę i oświecając okolice posępne światłem czerwonym. Tuman popiołu wydobywały się zarazem, a niesione przez wiatr, który się zerwał i nie ustawał ani na chwilę, zasypywały pola i ogrody, winnice, wiskając się obok tego do mieszkań i czyniąc z dnia noc.

Gdzie uciekać wśród oślepiającej ciemności? Jeden z mieszkańców miasta, nazwiskiem Dyomedes, zamieszkiwał w pobliżu bramy miasta piękną willę zbudowaną w doryckim stylu, z tarasem i kolumnadą. Człowiek był bogaty i jego zbiory sztuki były sławne, gdy naraz znajdując się w bibliotece uczuł dziwne gorąco i zarazem otoczyła go ciemność nocy, piersi brakło oddechu. Że ziemia drżała mu pod nogami, zrozumiał co to jest i wraz z rodziną całą schronił się do sklepionej piwnicy pod kolumnadą domu, gdzie mieściły się zapasy spożywcze, a że zabrał tam i całą służbę, osób było siedemnaście. Sam przecież nie pozostał z nimi; owinąwszy tak głowę, aby popiół nie cisnął mu się do ust, do oczu, i wzięwszy sobie do pomocy zaufanego, wiernego niewolnika, unieść chciał zbiory swoje w miejsce bezpieczne, przecież nie dobił się dalej jak do bramy miasta, w 1800 lat potem znaleziono go pod warstwą popiołu i odkryto jego nazwisko za pośrednictwem listu od przyjaciela, skreślonego na tabliczce, a który miał przy sobie.

Rodzina jego zginęła również śmiercią okrutną, zadusił ją pył ziemi. Jedną z córek, dziewczátko młode, położyło się w mękach konania na stosie popiołów twarzą na nich i odcisnęło się tak lice jej jak i łono, a gdy popioły stały się skamieniałą masą, pamięć jej śmierci okrutnej uwieczniła się w tym odcisku.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Donoszą z Petersburga, iż Rada Państwa mająca rozpatrywać wkrótce złożony jej projekt utworzenia kasy emerytalnej dla wszystkich nauczycieli szkół elementarnych, zamierza rozszerzyć go i do nauczycielek.

— „Wiadomości Petersburskie“ piszą, iż kontroler państwa wydał okólnik, odnoszący się do podwładnych mu izb, zawiadamiając, iż przy zwiedzaniu izb kontroli przekonał się, że kobiety pracujące w rzeczonych izbach zjednały sobie zaufanie zwierzchników w skutek pilnego wywiązywania się z powierzonych im obowiązków, pozyskawszy zarazem szacunek kolegów pracy. Wobec tego kontroler główny zalecił prezesom izb kontroli podwyższenie im pensji. Do tej pory najwyższa pensja kobiety nie przenosiła tu 560 rs. rocznie.

— W d. 1-go Grudnia odbyło się w kościele Ś-go Aleksandra poświęcenie dwóch kaplic w nawach bocznych: Matki Boskiej Ostrobramskiej, ufundowanej przez grono pań w nawie prawej i Ś-go Józefa w nawie lewej, zbudowanej kosztem zapisanego na ten cel przez hr. Aleksandrę Potocką funduszu.

— Komitet Warsz. Tow. Sztuk Pięknych nabył przy drugim zakupie na własność Towarzystwa dzieła pendzla kobiecego: Zofii Stankiewiczówny „Góra Giewont w Tatrach“, Alfonsy Kanigowskiej „Przy straganie“, Laury Siemieńskiej „Martwa natura“, Maryi Nostitz Wasilkowskiej „W parku“, Maryi Gażewiczowej „Róża“. Między świeżo na wystawę Towarzystwa nadesłanymi portretami zwraca uwagę portret damy w koronkach, pendzla p. Emilii Duksyńskiej.

— P. Zbranička zamierza otworzyć w mieście naszym ochronę w którejby mieściło się dwanaście sierot, utrzymywanych jej kosztem i zwróciła się do War. Tow. Dobroczynności o pozwolenie.

— P. Stefania Tur Przedzymirska wdowa bezdzietna zapisała na rzecz powiatu dobra swoje: Mackowice, Konieuchy, Sierakowce, Iwazskowice. Kuratorowie spadku postanowili po oczyszczeniu spadku z długów założyć w Przemyślu wyższe kursa naukowe dla kobiet, noszące nazwę „Liceum żeńskie Tadeusza i Stefanii Przedzymirskich“.

— Emilowa Selenka, żona czeskiego zoologa, towarzyszyła mężowi w podróży na Borneo, gdzie przebywali dwa lata, tworząc wspólnie kolekcje, w czym żona dopomagała bardzo wiele mężowi. W powrotnej podróży do Europy spotkanie się nieszczęśliwe wśród burzy z okrętem innym i uderzenie ich o siebie sprawiło, że połowa zbiorów przez wytworzenie się szpary w okęcie została zniszczona, a mąż przecież ze względu na stan zdrowia swego musiał do Europy iechać, żona jednak wróciła własnowolnie na Borneo, aby uszkodzone zbiory uzupełnić, przebywając tam w tym celu półtrzecia miesiąca. Obecnie przybyła ona do kraju, przywoząc ze sobą wszystkie zbiory i preparata.

— W parlamencie francuskim wytworzyła się grupa deputowanych, którzy stali się organem żądań przedstawionych im przez kobiety, żądające równouprawnienia z mężem w pożyciu domowym i kierowaniu wychowaniem dzieci; subwencji państwowych dla kobiet wychowujących kilkoro dzieci — przyszłych obywateli kraju bez pomocy męża; określenie minimum płacy robotnic;

prawo zasiadania w zawodowych sądach rozjemczych; wzniesienie szkół, w którychby kobiety przygotowywały się do egzaminów dojrzałości; równouprawnienie polityczne przez prawo zajmowania pewnych urzędów publicznych, głosowania i wybieralności.

— Dorota Klumpke, panna licząca lat dwadzieścia osiem, pochodząca z rodziny alzackiej, lecz zamieszkująca w Kalifornii, słuchaczka astronomii w Paryżu, w Sorbonie otrzymała stopień doktora matematyki raz pierwszy przyznany we Francji kobiecie; Miss Klumke ma lat trzydzieści osiem.

— Akademia Francuska przyznała między nagrodami cnoty 2 000 franków panie Bestyldzie Bertrand za dzieła miłosierdzia. Sierota od lat młodych odziedziczyła po rodzicach 12 000 franków i mały ten kapitałik oddała zaraz Siostrze Miłosierdzia z żądaniem, aby zbudowały dom schronienia dla ubogich a sędziwych tak mężczyzn, jak kobiet. Ale sumka ta nie była wystarczająca, więc zaciągnęła pożyczkę wynoszącą drugie tyle i kupiła zrujnowany, nie zamieszkały już klasztor na końcu miasta, gdzie przy pomocy siostr miłosierdzia urządziła przytułek dla starców, których utrzymanie wzięła również na siebie. Trzeba było obmyśleć w jaki sposób dokonać tego zdoła, bo najcięższa praca kobiety nie mogła przynieść potrzebnego tu grosza, uczyniła się więc wędrowną komisantką koronek, które rozwozi po kraju. Obecnie ma lat 63 i utrzymuje się tak skromnie, że graniczy to niemal z nędzą; w przytulku który istnieje już lat siedemnaście, mieści się siedemdziesiąt starców, a dodać należy, że ta szlachetna jest córką stolarza i jej wykształcenie naukowe nie przechodziło stopnia elementarnego, umie przecież czytać i myśleć wzniosłe, a dość tego, aby człowiek wywiązać się z zadań i obowiązków życia.

— W węgierskim mieście Raab, zmarła kobieta sędziwa, Anna Szylogii, z męża Molner, wdowa. Za lat swych młodych, w 1848 r., uniesiona zapalem przebrała się po mężku i zaciągnęła do wojska pod przybranym nazwiskiem zmarłego brata, odznaczając się męstwem i wytrwałością, otrzymała stopień sierżanta, aż raną w jednej z bitw uniesiono z placu boju do lazaretu, gdzie przyznać się musiała, że jest kobietą. Jeden z jej towarzyszy broni, porucznik Molner zaślubił ją po ukończeniu wojny i nie żałował tego, bo w życiu domowym okazywała się zawsze kobietą, odpowiadającą powołaniu płci swojej. Pogrzeb odbył się z honorami wojskowymi.

— Dwie angielskie literatki, miss Belloc i miss Sheldon, podjęły pracowite zadanie dokładnego przejrzania wszystkich beletrystycznych książek francuskich z ostatnich lat trzech z celem wykazania niemoralnego kierunku znacznej ich liczby. Jest to dobra usługa dla rodzin nie tylko ze względu na młodych czytelników bo i kobieta starsza, kobieta znająca już życie, wyrządza sobie krzywdę, brudząc wyobraźnię obrazami upadku i moralnego poniżenia.

— W Londynie zawiązało się stowarzyszenie kobiet z celem urządzania odczytów w różnych przedmiotach wiedzy, a których ma być trzydzieści dziewięć, bo tyle osób dobrej woli zapisało się na listę prelegentów. Na czele stowarzyszenia stoi lady Trevelyan, której staraniem jest, aby część pewna odczytów miała zastosowanie praktyczne w życiu domowym rodzin. Będą tu między innymi trzy odczyty o pielęgnowaniu chorych, trzy odczyty w przedmiocie „Dzieci pieszczone“. Prelegentka, miss Edyta Marks, nie potępia tej pieszczoty, która jest wyrazem tkliwego przywiązania matki do dziecka, lecz pieszczoty psującej przez brak stale przeprowadzanej karności moralnej.

— Miss Thorston, posiadająca stopień doktora medycyny, udaje się do Indyi z zamiarem praktykowania w Delhi w szpitalu kobiecym Ś-go Stefana, wzniesionym przez misyjne Towarzystwo rozszerzania chrześcijaństwa. Druga młoda też panna, Paola Salwey, udaje się do Japonii z takim samym zamiarem, łącząc tu wraz z działaniem religijnym i wykazywanie celów życia kobiety wśród ludzkości. Angielki w ogóle podnoszą w tych czasach zadanie życia kobiety bardzo

wysoko, stawiając w ten sposób najsilniejszą zapórę zachciankom emancypacyjnym i dowodząc równości kobiety z mężczyzną na podstawie użyteczności i wielkiego znaczenia jej prac i obowiązków, legalnie do niej należących.

— Ida Wickersham, córka superintendenta szkół męskich i żeńskich w stanie Pensylwania, mając lat dwadzieścia dwa, objęła po ojcu redakcją czasopisma „Pensylvania School Journal” i prowadząc go przez lat trzy, zyskała sobie takie uznanie pedagogów i rodziców, że rada miejska zwróciła się do niej z prośbą, aby zechciała wygłaszać publicznie prelekcje o wychowaniu dla matek i nauczycielek. Pierwsza z nich miała za przedmiot, iż matka potrzebuje przede wszystkim zyskać sobie szacunek dziecka pod względem prawości własnego charakteru; gdy tego nie ma żadna nauka moralna, żadna przestroga w chronieniu dziecka od złego skutkować nie będzie. Przykład życia rodziców jest najdoskonalszą lekcją moralności. Rada miejska złożyła prelegentce podziękowanie.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż komisya ministeryum sprawiedliwości, zawiązana w celu rewizji ustaw sądowych, podzieliła się na oddziałów cztery. Nowy, piąty oddział, poświęcił narady swoje sprawom organizacyjnym. Oddziałom polecono systematyczny przegląd ustaw sądowych, rozesłanie wniosków do opinii władz sądowych, wytworzenie przy ministeryum sprawiedliwości narad starszych prezesów i prokuratorów izb sądowych, z celem rozstrzygnięcia kwestyi przeglądu ustaw, reformy śledztwa pierwiastkowego i procedury oskarżania. Po ukończeniu narad oddziały komisyi przystąpią do przeglądu głównych zasad jednolitej organizacyi sądów.

— Towarzystwo rolnicze w Moskwie pragnie urządzić w temże mieście ogólny zjazd rolników, lecz zamiar urządzenia tam ogólnego zjazdu napotyka rozmaite trudności z powodu zamierzonego już poprzednio zjazdu takiego w Petersburgu.

— Ministeryum skarbu postanowiło zająć się rozwojem żelaznego przemysłu w kraju nadazowskim.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności otworzyło przy ulicy Drewnianej pod N-r II-ym kuchnię tanią dla ubogich mieszkańców tej dzielnicy miasta naszego.

— Odczyty publiczne rozpoczęły się w Niedzielę, dnia 16. Odczyt pierwszy na rzecz War. Tow. Dobroczynności wygłosił w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa p. Walery Gostomski. Tematem było „Życie ziemskie w Komedyi Boskiej Dantego”. Utwór ten poety, którego geniusz stworzył nieśmiertelne arcydzieła, zawsze pocią-

gał i pociągać będzie do siebie umysły myślące i poetyczne, wywierając wrażenia rozbudzające nam w umyśle tysiące zagadnień życia, uczuć i myśli człowieka. Treścią wizyi poety jest postęp ducha ludzkiego ku doskonałości przez próby życia, przez walki z własnym naszym sercem toczone. Odczyt drugi tej seryi, wygłoszony przez p. Ksawerego Skorupskiego, zajmował bardzo słuchaczy; treścią jego były wrażenia jakich doznaje podróżnik przybywający z Europy do Ameryki, a zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych. Prelegent odbywał dalekie podróże w celach naukowych; w roku przeszłym przepędził kilka miesięcy w Stanach Zjednoczonych i zwiedził wystawę w Chicago. W roku bieżącym odbył jako delegat uniwersytetu podróż do Islandyi z celem studyi przyrodniczych.

— Odczyt prof. Bujwida, urządzony staraniem pań, należących do Tow. opieki nad zwierzętami: „Drobne żyjątka zdrowiu szkodliwe i sposoby ich unikania”, miał za sobą stronę praktycznie użyteczną niemałego znaczenia, a zarazem odślaniał jakoby słuchaczom świat tajemniczy, w którym miliony niedostrzeganych przez nas golem okiem istot żyje i działa, podkopując zdrowie ludzkie. Starauna czystość bronić nas może od nich w części bardzo znacznej.

— Zarząd Towarzystwa osad rolnych podaje do wiadomości, iż koszt na budowę przytułku poprawczego dla opuszczonych i moralnie zaniedbanych dziewcząt w Puszczy został obliczony na 10.000 rs. Ofiary złożone dotąd przedstawiają 3.765 rs., a obok tego p. Bernard Hantke zadeklarował nadesłanie wkrótce 500 rs. Zarząd pragnie rozpocząć z wiosną budowę tege niezbędnego w każdym społeczeństwie przytułku nędzy moralnej.

— Konkurs *Przyjaciela Dzieci* zgromadził trzy powiastki, z pośród których dwie zakwalifikowano do nagrody: „Krewni” przez Jerlicza i „Słoneczko” podpisane znakiem zapytania. Ostatecznie nagrodę 150 rs. przyznano „Krewnym”. Odnaczono i zalecono do druku sześć rękopisów: „Dwie drogi” przez Janinę Feliksę Dorault, używającą pseodonymu „Poczwarka z nad Bzury”, „Kolega Julka” przez Bronisława Grabowskiego, „Nacia” przez Klemensową Szaniawską, „Rok życia” przez Zofię Bukowiecką, „Wirginia” przez Maryę Bzowską, „Złe i dobre” przez Teresę Jadwigę.

— Projekt urządzenia w mieście naszym panoramy Tatr jest blizkim urzeczywistnienia, wykonawcy obrali już miejsce, gdzieby budowla pomieścić się mogła i w tych dniach rozpoczęto układy z komitetem cyklistów w celu zajęcia placu na Dynasach od strony ulicy Topiel. Komitet przychylił się do tego żądania za cenę 1.000 rs., rocznej dzierżawy.

— Zakopane już ubieliło się opońą śniegową, co przecież nie odbiera bynajmniej krajobrazowi jego wdzięcznej piękności. Wesoło tu jest ludziom i dobrze, słońce świeci jasno, ruch sanna ożywia przyjemnie okolicę brzękiem rozlegających się dzwonek; goście, którzy tu zjechali na sezon zimowy używają wesoło przechadzek, na które przystrajają się jak miejscowi górale, w sukienkach łapciach na nogach, w kapturach na głowie. W przeszłą niedzielę odbyło się w sali zakładu D-r Chramca wieczorynek z celem zebrania funduszu na dochód szpitala miejscowego; ćwiczenia gimnastyczne mają tu licznych zwolenników, obok tego odbywać się tu będą dwa razy tygodniowo odczyty. Do rzeczy smutnych zaliczyć trzeba, że Jan Sabala Krzeptowski Ciarkur z Kościelisk zmarł d. 8 bieżącego miesiąca; pochowano go z honorami odpowiedniami i gęślę dano mu do trumny a na mogile złożono pod krzyżykiem mnóstwo wieńców.

— Kółko szarmierzy zawiązało się we Lwowie wśród młodzieży uczeszczałającej do czytelnicy akademickiej.

— Hr. Esterbazy, węgier służący w szeregach kawalerii stojącej załogą we Lwowie, zamierza urządzić tam na wiosnę wielki pochód rycerski w strojach z XVI wieku. Obszerny można powiedzieć wspaniały rynek krakowski ze starożytnym gmachem Sukiennic, ze starożytnymi świątyniami Panny Maryi i Ś-go Wojciecha, których wieżycy strzelają wysoko w górę, stanowią może tło niepospolite dla takiej zabawy.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza” dołącza się: powieść **Rubikon**, przez E. F. Benson. Przekład z angielskiego ark. 3.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza” w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

REKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Zbawiciel świata (drzeworyt).—Bóg się rodził przez M. Ilnicką.—Pogawędka, przez ?? — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—List z Anglii przez Augusta.—Miasto pogrzebane.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili. Dodatek obejmuje: Rubikon, powieść, przez E. F. Benson, przekład z angielskiego ark. 3.—Przegląd mód.—37 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 7 Декабря 1894 г.

Redaktor Odpowiedzialny Michał Glücksberg.